

Rola Katarzyny w "Tylko strach" Barbary Sass wywołuje duże wrażenie, bo pod pasją bohaterki walczącej z nałogiem wyczuwamy pani aktorską pasję.

– Tej roli nie dałoby się inaczej zagrać. Miałam dać portret alkoholiczki, której życie jest ciągłym zmaganiem i ciągłym lękiem. Kiedy byłam już solidnie przygotowana teoretycznie, okazało się, że tak naprawdę nie wiem nic. Zrozumiałam, że aby stworzyć wiarygodną sylwetkę, aby to nie było mechaniczne kopiowanie pewnych zachowań, muszę wywołać w sobie stan napięcia. Oczywiście, nie było moim zamiarem utożsamiać się z bohaterką. Aktorstwo, jako sztuka oszustwa, wymaga dystansu. Chodziło o stworzenie nastroju, który sprawia, że wyobrażona w głowie postać zaczyna żyć. Miałam ogromną pomoc ze strony Basi. Jeszcze nigdy nie pracowałam w tak bliskim kontakcie z reżyserem. Byłyśmy jakby połączone jednym obwodem elektrycznym.

Rola była ryzykowna. Miała Pani do zagrania sceny, w których bohaterka przeżywa delirium, zbliża się do całkowitej degradacji.

– Główne ryzyko związane było z założeniem, by w sposób prawdziwy pokazać walkę ze straszną chorobą, nie epatując widzów tzw. brutalną prawdą o życiu. Wzbudzić zrozumienie, zamiast niezdrowych emocji. Jeśli postać Katarzyny pomimo wszystko pozostaje sympatyczna, to duża w tym zasługa autora zdjęć Wiesia Zdorta. Jego wycucia i delikatności. Zresztą bez kokieterii mogę powiedzieć, że po raz pierwszy miałam poczucie, iż cała ekipa pracuje na moją rolę.

W pewien sposób pokrewną rolę kobiety o bujnej przeszłości zagrała Pani w "Palcu Bożym" Caldwell, w adaptacji Teresy Kotlarczyk. Czy miało jakieś znaczenie to, że w obu przypadkach reżyserowały kobiety?

– Dla mnie to było swoiste odkrycie. Wcześniej reżyserowali mnie głównie mężczyźni. Teraz poznałam dwie reżyserki o silnych indywidualnościach, bardzo zdecydowane w działaniu, a jednocześnie po kobiecemu wrażliwe. To nie przypadek, że potrafią tak świetnie reżyserować aktorki. Są sytuacje, kiedy tylko kobieta potrafi zrozumieć, co dzieje się w świadomości innej kobiety.

Skłonny byłem przypuszczać, że jest Pani kapryśna, z trudem znosi władzę reżysera i wyłącznie sama chciałaby tworzyć swoje role?

– Jest dokładnie odwrotnie. To ja zawsze rozładowuję wszelkie napięcia. A dobry kontakt z reżyserem jest dla mnie rzeczą najważniejszą. Nie po to, by sobie z dziobków pić, ale żeby wspólnie zrobić coś sensownego. Są-

dzę zresztą, że wszyscy aktorzy potrzebują tego. Bez reżysera nawet najwięksi gubią się, powielają wyuczzone schematy. Ja chcę wiedzieć, czy idę w dobrym kierunku, czy to, co proponuję, jest coś warte.

Dziś tworzy Pani wielobarwne portrety dojrzałych kobiet. Do tego obrazu zupełnie nie pasuje wizerunek ślicznej panny o anielskim charakterze, jaką długo była Pani na ekranie.

– Ja się tamtej Ani Dymnej nie wstydzę i nie wypieram. Na te pierwsze role patrzę nawet z pewnym rozczuleniem. Jakbym oglądała własną córkę.

Nie próbowała się Pani buntować, gdy ten schemat się utrwalił?

– W filmach zaczęłam występować

jeszcze na studiach, grając właściwie samą siebie. Byłam nieśmiałym, niewinnym dziewczęciem, bezkrytycznie przyjmowałam to, co mówili reżyserzy. Nie byłam w stanie obronić się przed stereotypem, który przylgął potem do mnie na wiele lat. W kilku filmach nie powinnam brać udziału, ale rozterek i wątpliwości nie przeżywałam. Bardzo dużo zupełnie innych ról grałam w tym czasie w teatrze, który był i jest dla mnie najważniejszy. Tuż po szkole, mając dziewiętnaście lat zagrałam w przedstawieniach trzech największych reżyserów. U Wajdy w



Byłabym bardzo bogata, gdybym grała dla pieniędzy

WSTYDZĘ SIĘ ANI

“Nocy listopadowej”, u Jarockiego Anię w “Wiśniowym sadzie” i u Swinarskiego Zosię w “Dziadach”. Swinarski pierwszy, w ciągu pięciu minut udowodnił mi, że nie muszę być aniołem, że można wyzłocić u mnie “siły diabelskie”. To był nieprawdopodobny przełom w mojej świadomości. Zrozumiałam, że w tym zawodzie zdarzają się cuda, że będą mnie spotykać niespodzianki.

W pewnym momencie określano Panią jako najbardziej powabną aktorkę polskiego kina.

– To jeden z krytyków uparł się, by mnie tak nazwać. Rozsierdził tym jakiegoś faceta, który musiał mnie bardzo nie lubić i przystał nawet zdjęcia Raquel Welch, Faye Dunaway i jeszcze kogoś, z załączoną radą: porównaj się z prawdziwymi sex-bombami. Nie zabołało mnie to specjalnie, bo nie aspirowałam do takiej roli i prywatnie zgadzałam się ze złośliwcem.

Punkt zwrotny w Pani karierze? Rola w telewizyjnym przedstawieniu “Żałoba nie przystoi Elektrze” O’Neilla?

– To był przełom w opinii krytyki na mój temat. Ale aktorstwa nie wolno oddzielać od życia, dla mnie najważniejszym momentem było urodzenie dziecka.

Aktorki często rezygnują z macierzyństwa, albo odsuwają je w czasie. Pani zdecydowała się w bardzo ważnym momencie kariery.

– Żadnych kalkulacji nie przeprowadzałam. Zapamiętałam to, co powiedziała mi moja ukochana aktorka Zofia Jaroszewska: “Jakie znaczenie mają sukcesy, wspaniałe role, skoro teraz jestem samotna”. Macierzyństwo zupełnie mnie odmieniło. Dało mi spokój, dystans. Poczułam się potrzebna w całkiem inny sposób. Najważniejszy dla kobiety. Zmieniłam się jednak także fizycznie, przytyłam i początkowo sądziłam, że z aktorstwem trzeba się będzie pożegnać. Ale otworzyły się przede mną nowe możliwości aktorskie. Zobaczono we mnie doświadczoną, dojrzałą kobietę. Kogoś, kto potrafi w życiu ryzykować, walczyć.

W ciągu tych kilku ostatnich lat była Pani wręcz rozpieszczana rolami, o jakich marzą aktorki. Kławdia z “Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna, Małgorzata z “Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa, Berta z “Emigrantów” Joyce’a.

– To rzeczywiście niezwykle, zagrałam dwie z trzech ulubionych postaci literackich. Tej trzeciej, Joanny z “Łuku triumfalnego” Remarque’a, już nie zagram z powodu wieku. Może w ten sposób została odwzajemniona moja miłość do aktorstwa. Uważam, że ten zawód można uprawiać tylko z miłości. Jestem pod tym względem romantyczną idealistką. Byłabym bardzo bogata, gdybym grała dla pieniędzy. A tak, umrę bez majątku, ale za to szczęśliwa.

Niektórzy aktorzy uważają, że niepewność wpisana w ten zawód to koszmar.

– Jestem innego zdania. Najwspanialsze są sytuacje, kiedy reżyser, albo partner prowadzi w rejony tajemnicze, gdzieś, gdzie się nigdy nie było. Coś podobnego przeżyłam dzięki Kazimierzowi Kutowski, przy okazji telewizyjnego spektaklu “Noc Walpurgii” albo “Kroki Komandora” Jerofiejewa. Grałam tam postać Natalii, pielęgniarki z zakładu psychiatrycznego. Początkowo wydała mi się wulgarna. Kutz przekonał mnie, że jest ona uosobieniem ciepła i delikatności. Pokazał, że to, co pozornie ciemne, może okazać się jasne.

Ze zdumieniem dowiedziałem się, że jest Pani pedagogiem w krakowskiej PWST. W wywiadach mówiła Pani często, że nie ma właściwie żadnej metody aktorskiej, że to rzeczy intuicyjne, tajemnicze. Co przede wszystkim chce Pani przekazać swoim studentom?

– Żeby czerpali z samych siebie, z własnej wrażliwości. Nie ulegali pokusom i złudzeniom, jakie w tym wieku są zupełnie naturalne. Pokusie całkowitej identyfikacji z postacią, skłonnościom gwiazdorskim.

A jak było u Pani z tymi skłonnościami?

– Ja miałam szczęście, że spotkałam Wieśka Dymnego w momencie, kiedy młodej dziewczynie łatwo jest uwierzyć, że stała się ważna. Ważniejsza

od innych ludzi. Myślałam, że jak pojawię się na okładce tygodnika, to świat się zmieni. A od niego usłyszałam wiele prawd, które trudno zaakceptować, gdy ma się dwadzieścia lat. Powiedział kiedyś: w czym jesteś lepsza od innych? Bądź uczciwym człowiekiem i porządnie pracuj. On ukształtował mój stosunek do życia: wpoił, że nigdy nie można się załamywać, mówić: to nie moja sprawa. Nauczył, że wszystko można zrobić własnymi rękoma, nie ma czynności zbyt trudnych albo

mniej godnych. Dzięki niemu potrafię wymurować ścianę, zrobić prosty mebel, uszyć płaszcz, torebkę. Ciekawe, że nikt nie mógł zrozumieć, że możemy być razem. Uważano nas za wyjątkowo osobliwą parę. We wspomnieniach wielu osób pozostał taki obraz: przodem idzie rzucający groźne spojrzenia

demon, za nim radosnym krokiem podąża uśmiechnięta dziewczyna, o naiwnym, promiennym spojrzeniu.

Przedstawienie “Dymny” w reżyserii Macieja Wojtylszki, to portret człowieka bardzo skomplikowanego. W jego tekstach zebranych przez Panią jest subtelny liryzm i szydercza brutalność. Co Panią w nim najbardziej fascynowało?

– Nikogo tak wrażliwego i autentycznego nie spotkałam. Był jak żywioł, ale w szczególny sposób: jak ogień i woda jednocześnie. Kotłowały się w nim różne namietności, mieszały różne talenty, których nie potrafił wykorzystywać.

Nie było w nim chęci, by budować swoją legendę?

– To był artysta, który nie wiedział, że nim jest. Pisał, malował i wyrzucał do kosza. A ja właściwie nigdy nie pogodziłam się z jego śmiercią. Stworzyłam sobie inne życie, ale w jakiś sposób pozostałam samotna.

